

ZZA WĘGLA

Strach iść z dzieckiem do teatru



Współcześni inscenizatorzy teatralni tak uparli się na uwspółcześnianie zmrzałej klasyki, że normalnie strach iść z dzieckiem do teatru. Wiem, co mówię. Parę lat temu wziąłem bachora na „Wesele” do Teatru Ludowego. I do dziś za Chiny nie

mogę mu wytłumaczyć, że Wyspiański nie tylko wielkim pisarzem jest, ale i do dziś zachwyca. A w każdym razie powinien.

Niewątpliwie takie zabiegi uwspółcześniania mają niekiedy rację bytu. Ba, bywają nawet motywowanie tzw. wyższymi względami. Przypomnijmy chociażby „Antygone”, wystawioną w Starym przez Andrzeja Wajdę w roku 1984 - jednoznacznie kojarzącą się z realiami Polski stanu wojennego. I budzącą w widowni wielkie, pozytywne (czyli antykomunistyczne) emocje. Ale takie sytuacje powinny jednak należeć do wyjątków.

Nie, wcale nie twierdzę, że klasyka rzecz święta. Ale klasyka dlatego została klasyką, że jest ponadczasowa. Nie mówiąc o tym, że została dobrze napisana. A do tzw. napisania z pewnością należą także realia, w jakie wpiął swą sceniczną fabułę uznawany już za klasyka autor. Pozbawione owych realiów przedstawienia po prostu klasyką być przestają. I często stają się zwyczajnym koszmarem.

Zdaję sobie sprawę, że awangardowe adaptacje klasyki są próbą poszukiwania nowego widza. Próbą dotarcia do tych, którzy do teatru nie chcą już chodzić. Ale nie tędy droga - co udowadnia przywołane już „Wesele” sprzed kilku lat (by nie powoływać się na inne, bliższe nam czasowo, inscenizacje). „Wesele”, którego - po wkomponowaniu w realia końca XX wieku - nijak nie da się zrozumieć. A na przykład film Wajdy, wierny oryginałowi, zachowuje świeżość i sens do dziś. I zachowa ją dla późnych wnuków.

Jeżeli ktoś już musi adaptować klasykę, powinien zachować się jak autorzy musicalu (i filmu) „West Side Story”. Nie trzeba ubierać Romea i Julii w skóry i dawać im komórkę. Wystarczy opisać ich dramat na nowo - wilk będzie syty, a klasyka cała.

I obie takie wersje da się z przyjemnością (oraz z pożytkiem) oglądać.